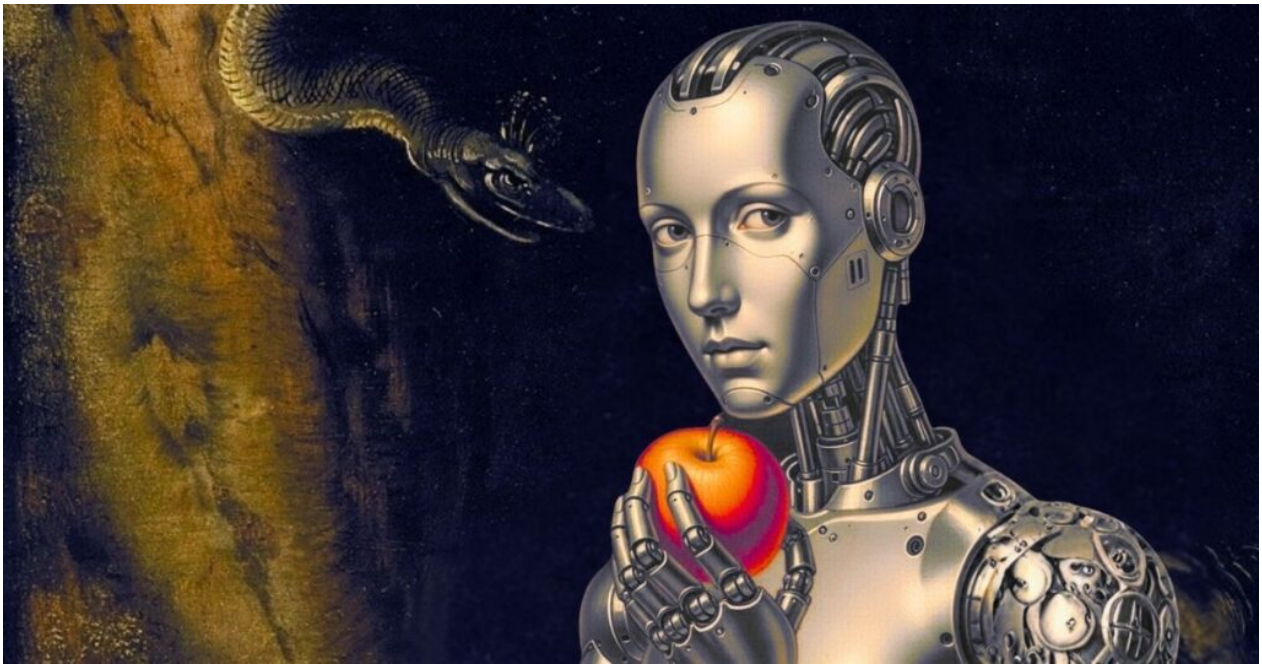
TOŻSAMOŚĆ · #POLITYKA NARODOWA

OD TECHNIKI DO GNOZY – KONSERWATYZM W DOBIE TRANSHUMANIZMU I PRZEMIAN TECHNOLOGICZNYCH

Adam Tomasz Witczak · 20 grudnia 2025



Każda poważna ideologia czy też doktryna polityczna naszych czasów powinna uwzględniać problem współczesnych i przyszłych przemian technologicznych – od automatyzacji pracy i technologicznego bezrobocia po hipotetyczne wizje transhumanistów i ekstropian. Abstrahując na razie od oceny tych zjawisk, twierdzimy, że po prostu powinna je uwzględniać i analizować – czasem krytycznie, czasem aprobatywnie. Istotą rzeczy jest to, by mieć jakąś sensowną odpowiedź – lub raczej, by zacząć nad taką myśleć.

Przyszłość już tu jest

Dlaczego? Po prostu dlatego, że poważna ideologia powinna brać pod uwagę te zjawiska, które w danym okresie są istotne dla kondycji i przyszłości społeczeństwa. To truizm, podobnie jak stwierdzenie, że wspomniane nowe technologie należą właśnie do kwestii istotnych dla naszego życia kolektywnego i jednostkowego. Faktem jest jednak, że często zapominamy właśnie o truizmach. Skutkiem jest ustawiczne

spóźnianie się (szeroko pojętej) prawicy na pociąg, którym rzeczywistość porusza się po linii czasu. Skutkiem pomniejszym jest marnowanie czasu i potencjału przez skądinąd sympatycznych i ciekawych ludzi.

Spójrzmy na to połączenie: prawica i poważna ideologia. Oczywiście – taki jest *target* tych rozważań – mamy tu na myśli przede wszystkim prawicę „prawdziwą", „radykalną" czy też „autentyczną", a przez to marginalną i skoncentrowaną głównie na dywagacjach w swym wąskim gronie, skupiającym nekro-reakcjonistów, narodowych rewolucjonistów, konserwatywnych liberałów itd.

Na owej „prawej flance" mamy na przykład młodych ludzi, którzy z pełną powagą dyskutują o postulatach społecznych i gospodarczych XIX-wiecznej reakcji (*fueros*, podział stanowy, agraryzm, neofeudalizm, gildie i cechy) w świecie, w którym rolnictwo zatrudnia margines ludności, panuje ustawiczna mobilność terytorialna i klasowa, szybko giną i powstają nowe zawody, a większość z nich nie wiąże się z jakimkolwiek głębszym poczuciem grupowej przynależności, koniecznym dla modelu korporacjonistycznego.

Mamy innych młodych ludzi, którzy szermują hasłami „narodowego państwa pracy" i epatują wizerunkiem muskularnego robotnika, młotem uderzającego w podwaliny kapitalizmu. A robią to w świecie, w którym co prawda specjalistyczna, fachowa praca robotnika ma jeszcze pewne znaczenie, ale już zwykła, ordynarna harówka „przy taśmie" jest coraz częściej zastępowana przez roboty, włącznie z tymi, które bazują na sieciach neuronowych i samodzielnym uczeniu się.

> Mamy polityków, którzy opowiadają historie o tym, jak bardzo ZUS będzie niewydolny za 20 czy 40 lat i jak wiele będzie trzeba wtedy rąk do pracy – a tymczasem powinni się zastanowić nad tym, czy wówczas będzie w ogóle jakakolwiek praca dla dwóch trzecich albo trzech czwartych społeczeństwa. I czy przypadkiem tematem „na topie" będzie nie wypłata emerytur, tylko wypłata dochodu gwarantowanego dla tej bezużytecznej gospodarczo większości.

Tenże dochód – mimo wszystkich złych rzeczy, jakie można o nim powiedzieć – jest być może bardziej sensownym hasłem niż modne (na lewicy – narodowej i kosmopolitycznej) żądania „godnej płacy" w zawodach, w których ludzka obecność jest (przynajmniej *ceteris paribus*, patrząc na to, jaki stan technologia osiągnęła na poziomie laboratoriów) coraz bardziej anachroniczna.

Konsekwencje przemian technologicznych, które obserwujemy w tych czasach, mogą być rozmaite – i mogą dotyczyć przynajmniej kilku poziomów życia, co do pewnego stopnia zależy od tego, jak bardzo chcemy wybiegać w przyszłość. Na przykład technologia może się okazać śmiercionośna i globalnie destrukcyjna, choćby w przypadku wykorzystania jej do celów terrorystycznych czy wojennych. Nie o tym jednak chcemy mówić (do czegoś trzeba nasze rozmyślania zacieśnić). To, co będzie nas interesować, to z jednej strony bardzo namacalna kwestia ekonomiczno-społeczna, jaką może się okazać hipotetyczny „koniec pracy", a z drugiej – transhumanizm, posthumanizm czy ekstropianizm jako zaprzęgnięcie techniki do realizacji ostatecznych celów gnostycznych.

Z założonymi rękoma

– Bez względu na to, jaki ukartowaliście plan, ja nie mam zamiaru pozbywać się mojej firmy.

– Nie ma pan innego wyjścia, proszę mi wierzyć. – Spokojna pewność srebrnego głosiku napełniła go drżeniem. – Tam, gdzie my jesteśmy, przedsiębiorstwa kierowane przez ludzi nie są już potrzebne, a przemysł wytwarzający roboty elektroniczne zawsze bankrutuje pierwszy.
(Jack Williamson, *Z założonymi rękoma*)

Opowiadanie, z którego zaczerpnęliśmy powyższy cytat, ukazało się w roku 1947 na łamach amerykańskiego magazynu „Astounding Super Science Stories". Przypomnijmy: były to czasy, w których komputery miały postać szaf, zajmujących nierzadko kilka pomieszczeń, a szczytem elektronicznego rozwoju była technologia lampowa. Williamson ekstrapolował zatem tendencje widoczne wówczas li tylko w zalążku – ale jego wizja świata opanowanego przez sztuczną inteligencję, która zastępuje ludzi niemal we wszystkim, nie straciła na aktualności, przynajmniej jeśli oczyścić ją z pewnych sensacyjno-przygodowych ozdobników.

Twierdzenie, że przemiany technologiczne wygenerują masowe bezrobocie, jest bardzo często zbywane – tak na prawicy, jak i lewicy – wzgardliwym przywołaniem XIX-wiecznego „luddyzmu", efemerycznego ruchu robotników niszczących maszyny (np. przędzalnicze) jako „odbierające im pracę". Rozwój technologii wytworzy nowe zawody i nowe posady – tak wygląda standardowy argument. Dlaczego miałoby się tak stać? Bo poprzednio (czyli po rewolucji pary, elektryczności czy nawet informatyzacji) tak się działo. Ale ci, którzy przyglądają się zachodzącym zmianom z większym niepokojem, odpowiadają: tym razem jest inaczej.

Pół wieku temu czy sto i dwieście lat temu nowa technika zastępowała przede wszystkim pracę ludzkich mięśni. Postęp, pomimo przejściowych zawirowań, umożliwił zaprzęgnięcie tysięcy i milionów ludzi do pracy „umysłowej" (oczywiście często oznaczało to po prostu posadę sekretarki czy drobnego kancelisty, stąd cudzysłów). Poza tym, maszyna parowa, spalinowa czy elektryczna rugowała robotników, ale równocześnie powodowała, że spadały koszty produkcji i mogła stać się ona bardziej masowa, podczas gdy społeczeństwo generalnie się bogaciło, spadała śmiertelność niemowląt itd. Z tego powodu obok fabryki, która wprowadziła mechanizację, mogły powstać kolejne, zaspokajające nowe potrzeby – i te nowe zakłady były w stanie stopniowo wchłonąć siłę roboczą. Ta zajmowała się już obsługą maszyn, a nie ręczną harówką.

Różnica tkwi jednak w tym, że obecnie maszyny zaczynają powoli zastępować także pracę ludzkiego umysłu – i to w zakresie znacznie większym niż same tylko kwestie obliczeniowe. W grę wchodzą również sprawy wymagające pewnego rodzaju kreatywności czy przynajmniej realizacji kontaktów międzyludzkich lub prostych (albo i nie tak prostych) „algorytmów działania".

Wymieńmy, w zupełnie przypadkowej kolejności, niektóre rodzaje zajęć, wykonywanych współcześnie przez człowieka: robotnik przy taśmie, barman (być może z fachową specjalnością, taką jak np. barista), portier, kasjer w sklepie, kasjer w banku, pracownik call-center, megafonistka na dworcu kolejowym, sekretarka, saper, farmer, tłumacz, recepcjonista, stróż nocny, „niższego szczebla" pracownik biurowy (wypełniający druczki i wykonujący stosunkowo proste operacje w arkuszu kalkulacyjnym), prawnik, kelner, sprzątacz, operator dźwigu, zawodowy kierowca maszynista (motorniczy), pracownik fast-foodu, „niższego szczebla" dziennikarz (przygotowujący szybkie newsy i komunikaty), analityk giełdowy, lekarz (zwłaszcza pierwszego kontaktu)...

Długa lista, bardzo różnorodna. A jednak wszystkie te profesje łączy to, że każdą z nich można już teraz

(abstrahując od kosztów, od zmian w mentalności pracodawców i klientów etc.) albo całkowicie, albo częściowo zautomatyzować i zastąpić robotem czy też botem (algorytmem, najczęściej uczącym się).

Mamy już w pełni zautomatyzowane magazyny, a także autonomiczne samochody. Na stacjach kolejowych (również w Polsce) planuje się zastępowanie megafonistek syntezatorami mowy. Istnieją programy, piszące (proste, być może, ale jednak w miarę sensowne i poprawne) artykuły prasowe. Projektuje się „inteligentne budynki". Implementuje się automatyczne kasy w sklepach i na dworcach. Google udoskonala swój translator, którego najnowsze wersje generują tłumaczenia naprawdę przyzwoitej klasy. Automatyzacja sięga (przynajmniej w teorii) nawet barów szybkiej obsługi czy kawiarni; powstają sieci neuronowe „wspomagające" cały proces zbierania i przetwarzania informacji przez prawników, a nawet całkiem skutecznie przewidujące wyroki sądowe. Wrażenie robią także systemy diagnostyczne „wspomagające" pracę lekarzy. O wspomaganiu mówimy tu zresztą w sposób nieco ironiczny – chodzi bowiem tak naprawdę o zastępowanie dużej części pracy.

> Zapewne po raz pierwszy w historii mamy taki stan rzeczy, w którym nowe maszyny nie będą wymagały człowieka do obsługi. Oczywiście mogą powstać (i prawdopodobnie powstaną) nowe zawody – ale dlaczego mieliby zajmować się nimi ludzie, skoro technologia umożliwi powierzenie ich robotom?

To prawda, że na szczycie zawsze będą jacyś ludzie kontrolujący lub nadzorujący działanie *hardware'u* i *software'u* oraz przydzielający maszynom zadania (chyba, że to maszyny zrezygnują z nas, ale pomińmy ten *casus*). Problem w tym, że rdzeniem zachodzących zmian jest fakt, że programy i roboty w wielu wypadkach same będą mogły diagnozować uszkodzenia swoje lub innych maszyn, a następnie je likwidować. Co do przydzielania zadań, to często ma i będzie mieć ono charakter bardzo ogólny, bo o to właśnie chodzi, by szczegółowe decyzje realizowane były przez sam komputer.

Otóż czymś niemożliwym, a na pewno ekonomicznie nonsensownym, byłoby zatrudnienie większości mieszkańców Zachodu przy kontrolowaniu maszyn, których największą zaletą jest to, że nie wymagają tak daleko posuniętej obsługi i tak ścisłego nadzoru, jak produkty poprzednich dekad czy stuleci.

Uprzedzając zarzut, powiedzmy – jak to zauważono w filmie „Humans need not apply" – że roboty i programy nie muszą być idealne i bezbłędne. Wystarczy, że będą równie dobre jak ludzie albo też lepsze – bardziej precyzyjne, skuteczne, pracowite – od nich. Dziś oczywiście „inteligentne" algorytmy też popełniają błędy (np. przy weryfikacji spamu albo generowaniu listy polecanych filmów), nie oczekujemy jednak, że ktoś do tej pracy zatrudni ludzi.

Naturalnie można powiedzieć, że jeśli tylko roboty nie osiągną poziomu, na którym mogłyby wiernie symulować ludzkie intuicje, uczucia czy nawet błędy, to dla człowieka zawsze będzie istnieć pole do popisu wszędzie tam, gdzie istotny jest kontakt z drugim człowiekiem, granie emocjami, dobre słowo itd. Zawsze też powinna go ratować sztuka, choć i na tym polu algorytmy radzą sobie coraz lepiej, odtwarzając ludzki sposób komponowania czy rysowania. Rzecz jednak w tym, że nie możemy oprzeć rynku pracy na poezji, malarstwie, korzenioplastyce, poradach psychologicznych, kaznodziejstwie czy artystycznym wypieku babeczek z masłem orzechowym. Wszystkie tego typu zajęcia mogą być wykonywane najwyżej

przez kilka czy kilkanaście procent społeczeństwa – reszta po prostu nie ma do tego predyspozycji lub brakuje jej dostatecznej motywacji i ochoty. Co więcej, nie zawsze taka aktywność może stać się opłacalną pracą zarobkową.

Jego trzej akwizytorzy jeździli po mieście od domu do domu z egzemplarzami pokazowymi. Powinni już dawno złożyć jakieś zamówienia i raporty, a tymczasem telefon milczał jak zaklęty, dopóki jeden z nich nie zadzwonił z wiadomością, że odchodzi z pracy.

– Sprawiłem sobie jednego z tych nowych humanoidów – dodał. – On mówi, że nie muszę już pracować.
(Jack Williamson, *Z założonymi rękoma*)

Oczywiście nasze rozważania – przyznajmy to zawczasu – prowadzimy w pewnym sensie *ceteris paribus*. Interesuje nas sama technologia, pomijamy tu wiele innych czynników, które być może zmodyfikują kierunek jej rozwoju i wdrażania. Na przykład można wyobrazić sobie kryzys tak globalny i wszechogarniający (być może wywołany wojną lub serią wojen), że cofający nas technologicznie o kilka dekad (acz praktyka pokazuje, że ani dwie wojny światowe, ani bolszewizm, ani inne rzeczy nie zatrzymały generalnego postępu w XX wieku). Można myśleć o ludzkiej mentalności, o tym, że niektórzy pracodawcy i klienci po prostu wolą ludzi od maszyn itd. Również rola „Kapitana Państwo" jako regulatora (parytety dla ludzi?) powinna zostać rozważona. Przyjmijmy jednak na poczet tych naszych uproszczonych dywagacji, że jeśli coś jest technologicznie możliwe i finansowo opłacalne – to zostanie w krótkim czasie wdrożone. Nawiasem mówiąc, gdy chodzi o mentalność i sympatie ludzi, to nie łudźmy się – choć deklaratywnie duża część z nas woli kontakt z człowiekiem od relacji z bezosobową maszyną, to raczej nie będziemy chcieli do tego dopłacać ani też nie dokonamy *seppuku* w obronie miejsca pracy sympatycznej pani, czytającej na dworcu komunikaty o pociągach.

W takim układzie ekstrapolacja zjawisk i zmian, które widzimy teraz, w naturalny sposób prowadzi nas do podejrzenia, że przyszłość to społeczeństwo, które często określa się jako 70 / 30 lub wręcz 80 / 20. Po jednej stronie – jedna piąta, w porywach może jedna trzecia ludności, która realizuje się w zawodach specjalistycznych lub twórczych; po drugiej – ta część społeczeństwa, która jest ekonomicznie bezużyteczna. Z natury rzeczy nie mogą wejść do elity, choćby dlatego, że elita nie może się aż tak bardzo rozszerzyć, a jednocześnie nie opłaca się reaktywować dla nich prac portiera czy magazyniera.

Zachodnie społeczeństwa prawdopodobnie są w stanie już teraz wykarmić tę rzeszę ludzi – poprzez system zasiłków socjalnych czy dochodu gwarantowanego. Ba, produkuje się przecież – i marnuje – ogromną ilość żywności. Wytwarzanie jej (i wyrzucanie) w takiej skali jest najwidoczniej bardziej opłacalne, również dla producentów prywatnych, niż ograniczenie wyrobu (co mogłoby np. podwyższyć cenę surowców). Świetnie wiedzą o tym tzw. *freeganie*, tj. ludzie stale żywiący się tym, co zostało wyrzucone (z marketów, restauracji), a co tak naprawdę wciąż jeszcze jest świeże.

Ostatecznie jednak te społeczeństwa to nie jest monolit (niektóre są stosunkowo ubogie, jak nasze czy tym bardziej ukraińskie lub albańskie), a poza tym być może jest jakaś mądrość w korwinistycznych zastrzeżeniach, że nie da się w nieskończoność dawać za darmo. Stąd rodzi się ryzyko paradoksalnej sytuacji, w której nie opłaca się dawać pracy tym wszystkim ludziom, ale i nie ma dla nich wystarczająco dużo *dochodu gwarantowanego*.

W każdym razie: czy tego rodzaju zmiany stanowią jakiś szczególny problem dla prawicy, dla ruchów na-

rodowych i tożsamościowych? Dla konserwatyzmu obyczajowego i społecznego? Czy tkwi w nich coś, co może sprawić, że prawica – przynajmniej jeśli nie zareaguje odpowiednio szybko – straci rację bytu nawet jako teoria?

Cóż, można tu zacząć od kwestii, która na pierwszy rzut oka będzie jawić się jako mało istotne, romantyczne utyskiwanie na to, że błogostan psuje ludzi. Wątek ten zresztą rozwiniemy głębiej przy omawianiu transhumanizmu. W skrócie chodzi o to, że jeśli faktycznie udałoby się zbudować „nowy, wspaniały świat" dochodu gwarantowanego, automatyzacji, końca pracy i czasu wolnego na realizację swych rozmaitych zainteresowań – to w jakiś sposób kłóciłoby się to, psychologicznie rzecz biorąc, z całym rewolucyjnym sztafażem naszych dzielnych środowisk. O co walczyć w świecie, w którym „wszystko jest", w którym rzadkość dóbr materialnych zanikła prawie tak, jak teraz zanika sztuczna rzadkość dóbr niematerialnych (dzięki kopiowaniu plików i luźnym stosunku mas do tzw. własności intelektualnej)? Jak być Mishimą czy Spaggiarim w *quasi*-matrixowych realiach świata pełnego względnie sytych ludzi, spędzających czas z robotami seksualnymi lub po prostu w wirtualnej rzeczywistości?

Pewnego wieczoru, kiedy Underhill poprosił ją, żeby coś zagrała, oznajmiła cicho:
– Tato, nie będę już więcej grać na skrzypcach.
– Dlaczego, kochanie? – Spojrzał na nią ze zdziwieniem, wstrząśnięty rozgoryczeniem malującym się na jej twarzy. – Tak dobrze ci szło... zwłaszcza odkąd humanoidy zaczęły dawać ci lekcje.
– W tym cały kłopot, tato. – W jej dziecinnych ustach zabrzmiało to dziwnie smutno i dojrzale. – Są za dobre. Choćbym nie wiem jak długo i uparcie ćwiczyła, nigdy im nie dorównam. To nie ma sensu. Nie rozumiesz, tato? – Głos jej zadrżał. – To po prostu nie ma sensu.
(...)
Samochód skręcił z lśniącej alei, wiozący go z powrotem do spokojnego przepychu jego więzienia. Underhill zaciskał i otwierał złożone na kolanach puste ręce. Nie było nic innego do roboty.
(Jack Williamson, *Z założonymi rękoma*)

Pomijając już nawet wymarzone czyny heroiczne, pojawiłby się problem znacznie bardziej przyziemny. Jak zorganizować owo bezczynne społeczeństwo, tj. jakimi metodami oddziaływać na nie przy założeniu, że naszym celem byłoby stymulowanie go w kierunku czegoś głębszego niż proste „żreć i żyć"? Jak zabić nudę, gdy nie można jej zabić pracą? Co powiedzieć ludziom, którzy są przymusowo bezczynni pomimo mocnego poczucia, że coś przecież potrafią, czegoś się nauczyli itd.? Bądź co bądź, mimo inwazji wszelkich prądów metroseksualnych, feministycznych czy związanych z wychowaniem bezstresowym, wciąż naturalne jest dla nas przeświadczenie, że wartościowy, samodzielny człowiek – a przynajmniej mężczyzna – powinien „mieć uczciwą pracę" i „być w stanie utrzymać rodzinę".

Ale rzeczywistość wcale nie musi być takim błogostanem, o jakim pisał np. Williamson. Albo też – nie do końca wiemy, czy i jak się mógłby się ów błogostan wykreować, o ile w ogóle miałby być on celem. Tu warto zwrócić uwagę na to, że teorie gospodarcze prawicy (i nie tylko prawicy, ale o niej chcemy mówić) tradycyjnie za punkt centralny swej refleksji przyjmują takie pojęcia jak własność czy praca. Na przykład pracę wielbią – choć w trochę inny sposób – zarówno korwiniści ze swoją awersją do „darmowego", jak i rozmaici narodowi rewolucjoniści z ich apoteozą czy to wielkoskalowej produkcji i j*üngerowskiego* robotnika, czy to „małej pracy na małym swoim" (dystrybucjoniści). Bezrobocie jawi się jako aberracja, której ma zaradzić albo rynek, albo państwo. A tymczasem mówimy teraz o świecie, w którym trzeba będzie na poważnie rozważyć problem utrzymania ludzi niepotrzebnych na rynku pracy.

> Ktoś ów „chleb i igrzyska" będzie musiał fundować – być może Kapitan Państwo, być może instytucje prywatne. Swoją drogą, system dochodu gwarantowanego w naturalny sposób prowadziłby do sytuacji, w której duża część społeczeństwa byłaby na łasce i niełasce rządu lub jakichś ponad-państwowych instytucji czy korporacji, mających interes w tego rodzaju „dobroczynności". Dochód ten byłby zapewne minimalny, a jednocześnie nie bardzo byłoby gdzie „dorobić". Tymczasem pożytek z bycia zamożnym nie jest taki, że można kupować drogie rzeczy (przez co nierzadko pomniejsza się swą zamożność, pomijając alokację środków w przedmiotach, które można upłynnić przynajmniej bezstratnie) – ale taki, że ma się poduszkę bezpieczeństwa i częściową gwarancję niezależności w razie bezrobocia czy innych kłopotów.

Innym rozwiązaniem byłoby przekształcenie się niektórych zawodów w prace, które *de facto* nie zarabiałyby na siebie, ale byłyby utrzymywane jako niekomercyjny (z punktu widzenia pracodawców) i być może państwowo dotowany ozdobnik estetyczny. W sensie: zatrudniamy windziarza w liberii, choć oczywiście winda działa sama, ale użytkownik rozumie ten gest mrugnięcia okiem. To już z kolei byłaby kwestia wylansowania pewnej mody, zresztą – niekoniecznie rozsądnej.

A może futurystyczna wizja powinna wyglądać jak uwspółcześnienie idei Carla Ludwiga von Hallera: świat jako luźna, anarchokonserwatywna federacja ludzi, współdziałających lub rywalizujących przy pomocy kapitału, którym teraz będą „portfele" botów i robotów, posiadanych przez danego księcia czy ród?

Jeszcze inny pomysł jest taki, że rozwój drukarek 3D i przydomowego generowania energii z odnawialnych źródeł (panele solarne etc.) umożliwi zaistnienie zdecentralizowanego społeczeństwa „dystrybucjonistycznego". Każdy będzie mieć swój warsztat i szklarnię, dzięki czemu ultra-nowoczesna technologia połączy się z modelem życia „spokojnego i powolnego". Tak czy inaczej – jest o czym rozmawiać. Na razie jednak porozmawiajmy o czymś innym, choć mającym spory związek z dotychczasowymi rozważaniami.

Lewa ręka ciemności

Transhumanizm będziemy tu rozumieć jako pewien prąd intelektualny (poniekąd filozoficzny), którego sednem jest przeświadczenie, że człowiek może i powinien dzięki nowoczesnej nauce nie tylko zmieniać rzeczywistość wokół siebie, ale również zmodyfikować swoją własną tożsamość. Innymi słowy, że jest w stanie z fazy zwykłego *homo sapiens* przejść do fazy nadczłowieka czy też postczłowieka. Taki postczłowiek (czy też transczłowiek, a więc przejściowy) byłby ulepszony genetycznie, miałby dostęp do technologii przedłużających życie teoretycznie nawet w nieskończoność, jego organy zostałyby częściowo wymienione na technologiczne odpowiedniki, a jego mózg wspomagany byłby komputerowo czy farmakologicznie, co znacznie poszerzyłoby tempo i zakres myślenia.

Ba, dla wielu transhumanistów ostatecznym celem jest możliwość dowolnego przemieszczania mózgu i swego „ja" pomiędzy zapasowymi ciałami (biologicznymi lub robotycznymi), funkcjonująca zresztą równolegle z *mind uploadingiem*, a więc z hipotetycznym przeniesieniem naszego jestestwa do komputera. Obie te koncepcje tak naprawdę są mocno życzeniowe – a zwłaszcza ta druga, która wymaga wielu mocnych założeń; np. takiego, że nasza świadomość jest po prostu czymś w rodzaju programu, który można

odkryć i sformalizować; że mózg jest w pewnym sensie komputerem; czy że świadomość jest w pełni skryta w tymże mózgu. Zauważmy zresztą, że przecież komputer to tak naprawdę po prostu struktura logiczna, której implementacja sprzętowa może być nawet pozbawiona związku z elektrycznością (a cóż dopiero z elektroniką). Innymi słowy, możliwość *uploadingu* oznaczałaby, że da się człowieka „skopiować" np. do mechanicznej, metalowo-drewnianej maszyny różnicowej Babbage'a (oczywiście odpowiednio bardziej skomplikowanej i większej). Albo nawet, że dałoby się „zapisać" człowieka jako algorytm na papierowych kartkach – i otrzymywać od niego odpowiedzi, poruszając się po kolejnych gałęziach schematu blokowego. Brzmi to cokolwiek dziwnie i mało wiarygodnie.

Faktem jest jednak, że wiele innych odkryć i wynalazków współczesnej nauki współgra z marzeniami transhumanistów. Mamy „inteligentne" protezy, badania nad komórkami macierzystymi, pierwsze nano-roboty, urządzenia i operacje przywracające wzrok czy słuch etc. Mamy wspomniane już wcześniej osiągnięcia z obszaru sztucznej inteligencji – i tak naprawdę nie jest istotne, czy w ogóle możliwa jest „prawdziwa" sztuczna inteligencja, ważne jest jedynie, czy ta, która zaistnieje, będzie dostatecznie przybliżać możliwości człowieka. Nawet jeżeli *mind uploading* w ścisłym tego słowa znaczeniu okaże się niemożliwy, to jednak zapisywanie czy zmienianie wspomnień albo transmisja myśli (przynajmniej w jakiejś uproszczonej formie) zdają się być potencjalnie wykonalne. Podobnie rzec można o urządzeniach, którymi steruje się przy pomocy myśli – pierwsze takie już zresztą funkcjonują.

Odkrycia i wynalazki to jedno, transhumanizm to drugie. Ten bowiem stanowi pewną ich interpretację, sposób myślenia o nich. W tym sensie transhumanizm wpisuje się w długą historię gnozy i „ścieżki lewej ręki", nawet jeżeli to ostatnie określenie jest trochę na wyrost i zbyt mocno pobrzmiewa ezoteryzmem. Jest ono zresztą wzięte z obszarów okultyzmu i magii, nie jest to jednak problemem, ponieważ ów podział na „prawą" i „lewą" rękę dobrze oddaje istotę rzeczy. Rozróżnienie to w jakimś stopniu obecne jest w różnych tradycjach religijnych i filozoficznych. Tak np. w chrześcijaństwie z jednej strony mamy zasadniczy nurt katolicyzmu, prawosławia czy nawet anglikanizmu lub protestantyzmu, a z drugiej – nurt gnozy, zawsze obecny jawnie lub w ukryciu, w formie zawoalowanej herezji.

Unde malum? Quid est veritas? Wizja Kościoła i ogólnie „prawej ręki" jest – z grubsza – następująca: istnieje wszechmocny, doskonały, pełny Bóg, zewnętrzny wobec człowieka i ogólnie stworzenia, będący przy tym osobą. Bóg ten nie ma już żadnego bytu nad sobą. To on dokonał dzieła stworzenia – i widział, jak mówi Księga Rodzaju, że było ono dobre. Pierwotnie dobry był i człowiek – jednak dokonał on (mocą wolnej woli) wyboru zła, czego skutkiem (dalekosiężnym) jest obecna kondycja świata, z wszystkimi jego niedoskonałościami, śmiercią, głupotą, ignorancją itd.

> W tej optyce powołaniem człowieka jest powrót do Boga – ale bez rozmywania osobowego aspektu zarówno tegoż człowieka (wręcz konkretnej jednostki), jak i jego Stwórcy. Powrót ten odbywa się poprzez wiarę i uczynki (uczynki ożywiane wiarą). Istotą rzeczy, pierwszym krokiem, jest przyjęcie prawdy o winie człowieka (tj. o grzechu pierworodnym i o grzechach uczynkowych), spoglądanie na rzeczywistość w perspektywie grzechu i cnoty, a w konsekwencji – nie tylko świadomość wyrządzonego zła, ale i żal z tego powodu.

Naturalnymi postawami człowieka w relacji do Boga (a pośrednio także w relacji do Kościoła czy nawet

pewnych tradycyjnych obyczajów, struktur społecznych etc.) – powinny być: pokora, zaufanie, gotowość do wyrzeczenia, dyscyplina.

Unde malum? Quid est veritas? Gnoza odpowiada na te same pytania, ale w sposób diametralnie przeciwny. W tej perspektywie wina za kondycję świata nie spada na człowieka, w każdym razie nie na zasadzie konsekwencji grzechu pierworodnego. Przeciwnie: winien jest Stwórca, będący zresztą jedynie niedoskonałym Demiurgiem, operującym na poziomie materii. W tejże materii człowiek został uwięziony, niejako zaklęty. Jego powołaniem nie jest bynajmniej żal, pokuta i powrót do Ojca w pozycji syna marnotrawnego – ale raczej przebóstwienie. To człowiek ma się stać Bogiem – a jeśli ma się zjednoczyć z Bogiem, to przez depersonalizację i rozpuszczenie w „boskości". Taki scenariusz – scalenia nowego pokolenia ludzi z kosmicznym nad-intelektem – przedstawiony został zresztą (aprobatywnie) w powieści „Koniec dzieciństwa" Arthura C. Clarke'a, jednego z czołowych pisarzy science-fiction.

W istocie nie jest tu szczególnie ważne to, że w niektórych nurtach gnostycyzmu wierzy się w „prawdziwego Boga", istniejącego w ukryciu, hen, daleko poza terytorium Demiurga. Nie jest nawet ważne to, czy wierzy się w samego Demiurga, archontów i całą tę mitologię. Kluczem do ścieżki lewej ręki – co zresztą niemal od razu, w każdej publikacji, przyznają sami ezoterycy, magowie, gnostycy i okultyści – jest to, że ścieżka ta postuluje zwrócenie się (w poszukiwaniu Boga czy też boskości) do wnętrza, do siebie samego, do człowieka. A więc to człowiek ma stać się Bogiem, jak to zasygnalizowaliśmy wyżej.

Transhumaniści co prawda na ogół prezentują się jako przekonani ateiści lub ewentualnie agnostycy i stronią od sztafażu *stricte* religijnego, ale nawet i oni przyznają, że ich ideowymi przodkami są prometeiści wszystkich wieków, jednostki pragnące wyzwolenia i przebóstwienia człowieka, w tym np. alchemicy czy renesansowi humaniści. Co więcej, w światku informatyki, hackingu i cyberpunka odwołania do gnostycyzmu w tej czy innej postaci są bardzo częste. Ów konglomerat magii chaosu, libertarianizmu czy „leworęcznych" interpretacji religii Wschodu, osadzony w strukturach internetu, dobrze opisuje Erik Davies w swej książce „Techn-Gnoza". Ta techn-gnoza nie kłóci się z paradygmatem materialistycznym czy scjentystycznym – przynajmniej, jeśli się go trochę zredefiniuje, prezentując np. rezultaty praktyk okultystycznych jako potencjalnie wyjaśnialne naukowo, a więc jako „otwieranie ukrytych funkcji umysłu", „odbieranie sygnałów przy pomocy fal nie uznanych jeszcze przez akademicką naukę" itd.

Inny przykład to manifest „In praise of the devil" opublikowany ćwierć przez Maxa More'a – znanego propagatora transhumanizmu i libertarianizmu (materiał kolportowany był m.in. przez angielską organizację Libertarian Alliance). Jest to apologia biblijnej postaci diabła (szatana, kusiciela), który zostaje przedstawiony jako prometejski wyzwoliciel, zachęcający do krytycznego myślenia i samorozwoju – a zarazem przeciwstawiony opresyjnemu, złowrogiemu Jahwe, blokującemu możliwości człowieka i zmuszającemu do szkodliwego altruizmu. Sam manifest nie jest specjalnie oryginalny, bo podobne rzeczy pisali Bakunin, Nietzsche, Ayn Rand czy La Vey, przywołujemy go jedynie po to, by ukazać, iż analogiczne koncepcje wyrażane są w transhumanizmie.

Oczywiście Max More jest tylko jednym z entuzjastów tego kierunku, acz zdaje się, że jednym z bardziej reprezentatywnych. Inni, jak Nick Bostrom, Ray Kurzweil, Natasha Vita-More (żona Maxa) czy nieżyjący już FM-2030 (Ferejdun Esfandijari) niekoniecznie korzystają z metafory diabła, ale i tak w ich zapowiedziach czy obietnicach widać iście religijną żarliwość. Kurzweil ochoczo posługuje się pojęciem „Osobliwości" – punktu w czasie, w którym sztuczna inteligencja ma przewyższyć ludzką, co według niego nastąpić

ma w roku 2045 (tenże rok staje się więc swego rodzaju rokiem mitycznym, przełomowym). Niektórzy transhumaniści decydują się na pośmiertne zamrożenie swych ciał, wierząc w możliwość zmartwychwstania w przyszłości i wyleczenia chorób, na które zmarli; inni (jak Esfandijari czy More, faktycznie O'Connor, zmieniają swoje personalia niczym konwertyci przyjmujący imię związane z kręgiem kulturowym swego nowego wyznania).

Dlaczego „tech-gnoza" i transhumanizm (szeroko pojęty, nie tylko jako kopiowanie umysłu do komputera) są niebezpieczne dla „tradycyjnych religii", dla „ścieżki prawej ręki" bardziej niż dotychczasowe formy gnozy, znane od tysięcy lat?

Cóż, w największej ogólności wynika to z faktu, że dotychczas „lewa ręka" działała na tym samym polu, co i „prawa". Zazwyczaj mogła obiecać wyzwolenie dopiero po śmierci – a jeżeli za życia, to zwykle w jakimś niejasnym, duchowym sensie. Mogła przedstawić maga czy guru o błędnym spojrzeniu i twierdzić, że tak wygląda człowiek wyzwolony, który zrozumiał, że jest bogiem. Ale ten „bóg" uciekał przed lichwiarzami, cierpiał na zaparcia i finalnie umierał tak samo jak niewtajemniczony hylik. Gnoza mogła wskazać alchemika, który przez dwie dekady zwodził swego księcia, mieszając fekalia z surowym jajkiem i obiecując, że wyprodukuje z tej mikstury złoto; ale oczywiście tego nie dokonał – i znów całą boską moc trzeba było przenieść na plan symboliki, metafory i duchowości.

Różnica jest taka, że dziś nowa gnoza może powiedzieć: tym razem mamy fakty. Mamy empiryczne, namacalne skarby. Błogosławieni, którzy nie uwierzyli, tylko przyszli i zobaczyli, że to działa. Zresztą, jeżeli potrzeba im jakiejś wiary, to i tę im gwarantujemy – w postęp, ekstropię, medycynę i *mind uploading*, w rok 2045, w doczesną nieśmiertelność, ograniczoną tylko czasem istnienia Wszechświata (choć są i tacy, którzy rozważają możliwość przeskakiwania do innych wszechświatów), w Osobliwość. Stary, transcendentny Bóg nadal obiecuje wyzwolenie duchowe, którego większość ludzi nie jest nawet w stanie zrozumieć – oraz zbawienie po śmierci, czego nie możemy sfalsyfikować po tej stronie. My tymczasem oferujemy konkret – nieśmiertelność może i nie wieczną (bo w końcu gwiazdy zgasną), ale wystarczająco długą, by nie robiło to różnicy; – moce przemiany, które co prawda wciąż będą udoskonalane, ale już na początku będą oszałamiać. I tak jak w gnozie: nie wiara, nie łaska, ale wiedza i moc.

Naturalnie dotyczy to nie tylko technofilów, ale też i innych ruchów czy zjawisk, które kwitną w tych czasach: jak LGBTQ, modyfikacje ciała, globalizacja kultury itd. W tym kontekście zabawne jest jak bardzo prawica nie pojmuje, o co w tym wszystkim chodzi – sądząc, że poradzi sobie z tematem LGBTQ, publikując kuriozalne broszurki doktora Camerona o bakteriach kałowych i igraszkach sodomickich. A przecież „geje" jako tacy nie mają tu żadnego szczególnego znaczenia – to po prostu jedna z wypustek „ogólnego wyzwolenia", tyle że z praktycznych powodów najbardziej obecnie krzykliwa. W istocie chodzi jednak nie o męski seks analny ani nawet nie o seks z kimkolwiek gdziekolwiek, tylko o „cokolwiek gdziekolwiek" – o przekroczenie wszelkich ograniczeń i realizowanie swojej „thelemy". Od „nie mówcie mi, w której warnie czy kaście mam być" poprzez „nie mówcie mi, jaką orientację seksualną mam praktykować" aż po „nie mówcie mi, że muszę być człowiekiem".

W transhumanizmie paradoksem może wydawać się to, że jest on niezadowolony z kondycji ludzkiego ciała, uważając je za głęboko niedoskonałe i wadliwe (poniekąd pogląd ten przenoszony jest na całą przyrodę), choć równocześnie całość swojej „refleksji naprawczej" ogranicza właśnie do ciała, a w każdym razie do materii, nie dowierzając w istnienie sfery duchowej. Obecne ciało nie jest satysfakcjonujące,

obecna przyroda płata figle i jest nieobliczalna – ale dzięki technice uda się jedno i drugie poprawić, zaś ta poprawa nie będzie niczym innym jak operacją w świecie fizycznym. W ogóle zresztą to podejście widać we współczesnym świecie: z jednej strony ciało nas brzydzi i przeraża, gdy jest ciałem starych i chorych, z drugiej – eksploatujemy je do wszelkich granic, o czym świadczą zarówno osiągi sportowców wyczynowych, jak i medialny kult młodości czy wszechobecność seksu.

Ów paradoks jest jednak pozorny – a jego sens uwidacznia się, gdy nałożymy nań matrycę myślenia o „lewej ręce". Ciało jest niedoskonałe, bo materia jest niedoskonałym tworem Demiurga – ale równocześnie nie ma innego prawdziwego boga niż my sami; zatem musimy go szukać właśnie w sobie. Ale ponieważ chcemy, by efekt naszych poszukiwań był namacalny, odczuwalny, realny i przekonujący, to znów musimy posłużyć się materią. Zgadza się to z obsesjami gnostyków, którzy ucieczki od ciała i ograniczeń życia szukali zarówno w skrajnej ascezie, jak i w skrajnej rozpuście. Dziś transhumanizm oferuje ucieczkę w rzeczywistość technologiczną, ale wciąż czysto doczesną i materialną. Podobnie ma się sprawa z new-age'owymi interpretacjami, w myśl których „aniołowie" to istoty z innych wymiarów, teoretycznie dopuszczanych przez fizykę, a działania magiczne otwierają pewne furtki w mózgu, działając ostatecznie na planie fizyko-chemicznym.

Ten sposób myślenia przywodzi na myśl także inne współczesne wcielenie gnozy – tj. komunizm Marksa, Engelsa i Lenina. Tam również mieliśmy przeświadczenie, że materia jest wszystkim, co istnieje i żadne bóstwa nie sprawują nad nią władzy. Równocześnie jednak heroizm idealnego komunisty, jego zapał do czynu, jego projekt przebudowy i przemiany świata, opanowania przyrody – przypominały gnostyckie pragnienie przekroczenia materialnych barier i zbliżały się do modelu przebóstwienia poprzez soteriologiczną introwersję. W tym aspekcie transhumanizm jest podobny, nawet jeśli niekoniecznie promuje kolektywizm (przeciwnie – dla części aktywistów tego nurtu fundamentem jest daleko posunięty libertarianizm).

Gdy Bóg gra *fair* o jeden raz za wiele

> „Autentyczna" czy też „głęboka" prawica nie ma chyba na razie żadnej innej odpowiedzi na te problemy niż bagatelizowanie tematu – plus ewentualne wzgardliwe machnięcie ręką i zaburczenie czegoś o tym, że „Faust, Frankenstein i Wieża Babel – na pewno tak się to skończy i jeszcze my, pesymiści antropologiczni, będziemy się ostatni śmiać". To jednak jest życzenie czy też nadzieja, a nie dowiedzione prawo.

Konserwatyści poklepują się po plecach, mówiąc, że „człowiek nigdy nie ucieknie z wygnania poza Eden i nigdy nie zdusi w sobie tęsknoty za rajem", ale optymistycznie nastawiony transhumanista odpowiada: „Człowiek nie musi nigdzie uciekać i nigdzie wracać, właśnie buduje sobie raj na Ziemi – i to rzeczywiście działa; anioł z mieczem ognistym stoi u bram Edenu, ale chętnych do szturmowania już nie ma".

Transhumanista może też obiecać nam, że człowiek przestanie być starym człowiekiem, a ciało uwielbione skonstruuje sobie bez wiary, postów, umartwień i zmartwychwstania; a zatem dostaniecie namacalny dowód na to, że gnoza, magia i alchemia zadziałały – w scjentystycznym paradygmacie – i że historie o koronie stworzenia, o biologicznym ciele, do którego zamontowana jest na stałe dusza, o tym, że świa-

domość to coś wyjątkowego, że śliski, biologiczny *starter-pack* łaskawie dany przez Demiurga to niezastępowalne *opus magnum*, że w pocie czoła pracować będziesz, a w bólu rodzić, że dobra są rzadkie, a życie ulotne i nędzne – właśnie zostaną sfalsyfikowane. Precyzja i szybkość manipulacji genetycznych czy nanotechnologicznych w medycynie będzie graniczyła z cudownością uzdrowień w Lourdes – ale korzystać będą z niej także ateiści.

Oczywiście religia i konserwatywny porządek społeczny nie są tylko batem w rękach kasty kapłańskiej, służącym do dyscyplinowania tłumów pogrążonych w ignorancji – i nie są jedynie pociechą dla tychże tłumów. Taka redukcjonistyczna opinia byłaby potwornym uproszczeniem. Tym niemniej jest faktem, że na dnie konserwatyzmu – począwszy od de Maistre'a czy Cortesa aż po Gomeza Davilę – skrywa się zimny kryształ daleko posuniętego pesymizmu antropologicznego. Ba, nie chodzi tylko o myśl reakcyjną, boć przecież jej pesymizm to tylko przedłużenie tego, który obecny był już u podstaw chrystianizmu, a który znaleźć można także w innych religiach.

Naturalnie można sobie wyobrazić religijność ludzi bogatych, szczęśliwych, długowiecznych, fizycznie niemal doskonałych – i można nawet przyjąć, że trwaliby oni przy wszystkich odwiecznych prawidłach tradycjonalizmu. W praktyce jednak – trzeba to powiedzieć, mimo że posmak tego będzie kwaśno-gorzki – głód, choroby, śmierć, wojna, bieda czy bezsilność człowieka wobec przyrody nierzadko okazywały się wielkimi sprzymierzeńcami kaznodziejów, nawołujących do pokuty i negujących coraz to nowsze obietnice reformatorów czy rewolucjonistów społecznych i religijnych.

„Chciwość prowadzi do wyzysku tych najmniejszych bliźnich" – mówią kaznodzieje. „Ale my już nie będziemy ubogich mieć u siebie; dóbr starczy dla każdego" – odpowiadają transhumaniści, rzucając wyzwanie słowom Chrystusa. „Człowiek jest trzciną najsłabszą na wietrze" – pisał Pascal. Ale w oczach transhumanistów ten człowiek (dzięki myśleniu, które zresztą Pascal podkreślał) przekroczy sam siebie, będzie sterować pogodą, sztucznie tworzyć nowe życie, poszerzać wrażliwość swoich zmysłów, odkrywać prawa rządzące zjawiskami w skalach subatomowych i kosmicznych. „Powołaniem człowieka jest wierzyć, pokutować i kierować uwagę na sprawy ducha, a nie na przemijający proch materii" – nauczają asceci. Ależ nie – odrzekną transhumaniści. Powołaniem człowieka jest tworzyć i niszczyć, weryfikować, pytać, odpowiadać i przekraczać wszelkie bariery. I to działa – powiedzą – a żaden piorun z niebios tym razem nie uderzy w nasz Babel.

Innymi słowy, pytanie brzmi: czy transhumanizm (wraz z pokrewnymi prądami) jest w stanie sfalsyfikować ów pesymizm antropologiczny konserwatyzmu, ów sceptycyzm względem mocy przysługujących człowiekowi i jego zdolności do kierowania tymi mocami?

Mamy tu oczywiście dwie kwestie. Jedna wiąże się z faktami, druga z propagandą. Otóż niewątpliwie problematyczne dla owego konserwatywnego oglądu świata byłoby faktyczne powstanie świata, który byłby szczęśliwy, bezproblemowy, rozwojowy i tryumfalny bez balastu „religijnych zabobonów", „uprzedzeń etnicznych, płciowych i klasowych" etc. Dziś oczywiście konserwatysta ma to szczęście, że może wskazywać takie zjawiska jak rozpad więzi rodzinnych, samobójstwa, narkotyki, popularność zachowań autodestrukcyjnych, zagrożenie inwazją islamskiego terroryzmu etc. Ale transhumaniści obiecują, że i te rzeczy zostaną wyrugowane – choćby dlatego, że duża część problemów emocjonalnych i psychicznych wynika z niedostatecznego zaspokojenia potrzeb materialnych (np. ludzie uciekają w samobójstwo czy lekomanię z powodu ubóstwa, braku perspektyw, nieuleczalnej choroby, wad fizycznych etc.).

Pamiętajmy, że wizja katolicka i konserwatywna, a poniekąd także i wizja wielu innych tradycyjnych religii, jest w dużej mierze „apokaliptyczna" i „ziemiocentryczna". Nawet jeśli nie wymaga się w niej ściśle pojętego kreacjonizmu młodoziemskiego, to jednak w praktyce myśli się o dziejach tak, jakby on obowiązywał. Człowiek nie jest przypadkiem – jest istotą szczególną, wyróżnioną, kluczową dla historii świata czy nawet Wszechświata. Równocześnie zaś sednem jego egzystencji jest kult Boga w ramach Kościoła, a bez tego kultu świat czekają rozmaite perturbacje i tragedie, będące tyleż karą Bożą, co i bezpośrednim skutkiem destrukcyjnego wpływu mentalności nie-religijnej. Jakkolwiek metaforycznie nie pojmowalibyśmy Apokalipsy, to nie uciekniemy od tego, że jej wizja przyszłości jest co do zasady katastroficzna, a pozytywne zakończenie dotyczy jedynie części ludzkości (tradycyjnie kaznodzieje zapewniali, że bardzo małej części).

Co więcej, choć nie jest to wprost powiedziane, to jednak kontekst nie sugeruje, że może chodzić o przyszłość liczoną w miliardach lat, zupełnie abstrakcyjną. Przeciwnie – mowa jest np. o konkretnych faktach dotyczących narodu żydowskiego (czy mógłby przetrwać on dwa miliardy lat?). Z tego powodu niektórzy tradycjonaliści – i to niekoniecznie ci najmniej poważni – wprost podejrzewają, że już wkraczamy w czasy apokaliptyczne; i to w sensie „historycznym", a nie ogólnikowym, według którego żyjemy w nich już od czasów Chrystusa. Umacnia ich w tym przeświadczeniu kiepska kondycja Kościoła Rzymskiego, coraz dziwniejsze zachowania kolejnych papieży, inwazja islamu z jednej strony, a „kultury LGBTQ" z drugiej itd.

Tymczasem wizja transhumanizmu jest zupełnie inna. Na gruncie chrystianizmu bliska jest jedynie koncepcji Teilharda de Chardin, w myśl którego ludzkość ewolucyjnie, rozwojowo zmierza od punktu Alfa do punktu Omega, który utożsamiany jest z „kosmicznym Chrystusem". Bóg będzie „wszystkim we wszystkich", a ludzkość się z nim zjednoczy. Ale abstrahując od tego, że myśl de Chardina jest bardzo mętna i trudno powiedzieć, co tak naprawdę, praktycznie i historycznie, ma oznaczać ów punkt Omega, to w dodatku jest to myśl nieortodoksyjna, a jej twórca poddawany był sankcjom jako heretyk bądź też osoba balansująca na pograniczu herezji.

Otóż wizja transhumanizmu, obecna także np. w wielu dziełach klasycznej, amerykańskiej i sowieckiej fantastyki naukowej, zakłada, że co prawda Ziemia jest stara, a człowiek pojawił się na niej po prostu jako jeden z etapów wielkiej ewolucji, ale z drugiej strony, tenże człowiek jest dopiero w kolebce. Zupełnie nie pasuje to do poglądu, według którego to, co istotne, zaczęło się kilka tysięcy lat temu w Edenie i właśnie dobiega końca w atmosferze globalnej apostazji. Nie pasuje to także do obrazu, w myśl którego cała prawda o sensie życia miałaby być zmonopolizowana przez jedno wyznanie religijne, wywodzące się z małego kraju na obrzeżach Imperium Romanum – czy nawet (jak chcieliby perennialiści pokroju Schuona i Guenona) przez kilka „przestarzałych" tradycji religijnych z różnych stron świata. Przeciwnie: może nas czekać jeszcze wiele przemian, które zupełnie odwrócą nasze myślenie o etyce, moralności, sensie życia i duchowości. Możemy poznać istoty pozaziemskie, do których nasze kategorie w ogóle nie będą mieć zastosowania. Wszechświat ma przed sobą miliardy lat istnienia i niedorzecznością byłoby twierdzić, że wszystko, co istotne, skumulowane zostało w granicach marnych kilku tysięcy lat wokół papieża rzymskiego i paru przesądów na temat roli narodu, „tradycyjnej rodziny" czy ról damskich i męskich.

Ta transhumanistyczna, ekstropiańska wizja pod wieloma względami jest zapewne naiwna i jednostronna, a jej podtrzymywanie wymaga komponentu wiary i nadziei równie silnego, jak w tradycyjnej religii.

Nie zmienia to jednak faktu, że przynajmniej w niektórych niszach transhumanizm już teraz może próbować nas oczarować swoją „gnozą faktów". Nawet jeśli pozostanie on tylko propagandą i mitem, to jednak tak czy inaczej mit ów wymaga jakiejś odpowiedzi ze strony tych, którzy raj z Bogiem wciąż przedkładają ponad *sztuczny raj* w doczesności. Poza tym rozmaite odkrycia w dziedzinie neurologii, sztucznej inteligencji czy modyfikacji genetycznych rodzą poważne problemy nie tyle nawet etyczne, co zupełnie fundamentalne, filozoficzne. Na przykład: czy powstanie sztucznej inteligencji albo przenoszenie świadomości pomiędzy ciałami-fantomami przeczyłoby katolickiemu przeświadczeniu, że dusza aż do śmierci jest nierozdzielnie związana z ciałem – i w dodatku potrzebna temu ciału jako duch poruszający materią? Już samo powstanie „prawdziwej" AI byłoby deprymujące. Pamiętajmy przy tym, że przywoływany często argument Searle'a o „chińskim pokoju" dowodzi tylko tego, że możliwe byłoby istnienie maszyny udatnie naśladującej świadomość i rozumienie, a jednak „ontologicznie pustej", nieświadomej, nie mającej poczucia istnienia czy rozumienia. Argument ten jednak nic nie mówi o ewentualnych ograniczeniach owego naśladowania świadomości – przeciwnie, dopuszcza on, że może być ono daleko posunięte. Faktycznie zatem możemy się zderzyć kiedyś z komputerem czy robotem, który sprawia wrażenie rozumnej i czującej osoby – tyle tylko, że część z nas nadal nie dowierzałaby w autentyczność tych zachowań.

> Czy gdyby ktoś został odmrożony z sukcesem, to znaczyłoby to, że tak naprawdę nie umarł pół wieku wcześniej – czy też, że właśnie przywołaliśmy go z zaświatów? Czy człowiek z jedną czwartą, połową, dwiema trzecimi organów wymienionymi na sztuczne – albo z wszczepką wspomagającą w jakiś sposób pracę mózgu – jest jeszcze człowiekiem?

Stało się jutro

To wszystko są problemy jutra, a poniekąd i problemy dnia dzisiejszego, zupełnie fundamentalne dla religii, gospodarki, filozofii, koncepcji człowieka itd. Tymczasem radykalne środowiska zbyt wiele dyskutują o ustaszach i legionistach rumuńskich, o królewskich rajtuzach albo o tym, czy w prawdziwie karlistowskich Kortezach powinna być reprezentacja cechu rybaków, czy narodowe państwo pracy oprzeć na robotnikach, czy na chłopach (w ramach narodowego agraryzmu) – i jak dowieść statystycznie, że dzieci wychowane przez pary „gejowskie" są nieszczęśliwe.

Ruchy polityczno-ideologiczne, zwłaszcza te twardo antysystemowe, powinny sobie przemyśleć możliwe konsekwencje rozwoju technologicznego, automatyzacji i postępów sztucznej inteligencji. Jeśli bowiem obecne trendy nie zostaną jakoś zahamowane (przez globalną wojnę, potężny kryzys czy fundamentalne zmiany w mentalności społeczeństw; a każda z tych opcji jest mimo wszystko mało prawdopodobna) – to za kilka dekad nie tylko postulaty, ale i same zagadnienia rozważane przez te ideologie mogą się okazać całkowicie anachroniczne.

*

Czytelnik może nam zarzucić, że obraz przyszłości prezentowaliśmy na tych stronach w sposób jednostronny, koncentrując się na tym, co negatywne i problematyczne – czy to dla świata w ogóle, czy przynajmniej dla tradycyjnych wierzeń religijnych i struktur społecznych. To poniekąd prawda – ale to nie

znaczy, że nie doceniamy tego wszystkiego, co w nowych wynalazkach jest pozytywne. Po prostu naszym założeniem było omówienie wątków budzących niepokój, a więc skoncentrowanie się na zagrożeniach. Tym niemniej i to wypada trochę zniuansować.

Otóż, jak pisaliśmy wcześniej, nowe technologie to jedno – a transhumanizm to drugie. Czy wynalazki jako takie są neutralne na gruncie etycznym, filozoficznym i społecznym? Nie do końca, bo przecież sam kształt postępu zależy od podstawowych wartości cechujących społeczeństwo, w którym zmiany się dokonują. W historii mieliśmy np. kultury, które do tego stopnia skoncentrowane były na koncepcji czasu cyklicznego, na sakralności przyrody i na repetycji tradycyjnych czynności – że postęp techniczny w zasadzie ich nie dotyczył. Skrajnym przypadkiem mogą być np. kultury rdzennych plemion australijskich, cechujące się niskim poziomem rozwoju materialnego, ale przy tym dość głęboką kulturą duchową i religijną. Ta jednak opierała się na przeświadczeniu, że wszystko, co istotne, zostało zrealizowane w mitycznym Czasie Snu przez totemicznych przodków – a rolą kolejnych pokoleń jest jedynie wierne odtwarzanie owej matrycy. W mniejszym stopniu ten sposób myślenia tyczył się także innych cywilizacji – nawet tych, które osiągnęły stosunkowo wysoki poziom rozwoju, jak Sumerowie, Egipcjanie czy Chińczycy. Osiągnęły – ale też i na nim się zatrzymały, w zasadzie konserwując pewien ideał i nie dokonując przełomów o charakterze rewolucyjnym.

> W jakiejś mierze ten sposób myślenia zmieniło chrześcijaństwo. Choć od dwóch, trzech stuleci jest ono oskarżane o hamowanie postępu i szerzenie ciemnoty, to jednak tak naprawdę pod wieloma względami było stymulatorem zmian w nauce. Czas cykliczny został sprowadzony li tylko do kalendarza liturgicznego, podczas gdy zasadniczą koncepcją historyczną stał się czas linearny. Stworzenie (przyroda) zostało odczarowane, stało się dziełem Boga, który na szczycie piramidy umieścił człowieka – tak, by nawet aniołowie mu służyli. Na pewnych płaszczyznach chrześcijaństwo dopuściło równość ludzi, a także to, co później przerodziło się w humanitaryzm.

Czytelnik może zresztą w tym momencie przywołać słynny cytat biblijny, który padł z ust samego Boga: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi".Czy ten fragment nie brzmi zgoła transhumanistycznie, prometejsko, ekstropiańsko? Na pozór tak, ale przyjrzyjmy się temu dokładniej. Otóż różnice pomiędzy „lewą" a „prawą" ręką, pomiędzy gnozą a ortodokosją, są głębokie, choć czasami trudne do wychwycenia. I tak różnica pomiędzy „czyńcie sobie ziemię poddaną" a „będziecie jako bogowie" – jest być może subtelna, ale poważna.

Wynalazki nie są całkowicie neutralne i oderwane od panujących podstaw filozoficznych – ale nie są też całkowicie przez nie zdeterminowane i nierozerwalnie z nimi związane. Stąd też transhumanizm (w sensie, jaki nadają mu More, Bostrom czy Kurzweil) jest tylko jedną z odpowiedzi na zmiany, jedną z możliwych interpretacji. Niewykluczone zatem, że także i konserwatyzm może wypracować swój „futuryzm", spójnie łącząc najnowsze odkrycia z tym, co określaliśmy tu mianem „prawej ręki". Innymi słowy, rodzi się pytanie o to, jak sprawić, by obserwowany rozwój miał za swoje motto właśnie hasło „czyńcie sobie ziemię poddaną", ale bez „będziecie jako bogowie". Nie wydaje się jednak, by obecnie myśliciele czy publicyści „autentycznej" prawicy mieli ten temat przepracowany. Konserwatyści zresztą zawsze są w ty-

le, ponieważ ich stałym problemem jest to, że nie potrafią poprawnie rozpoznać tego, co w ich idei jest tymczasowe, a co naprawdę wieczne. Stąd też historia pełna jest ultrasów łudzących się nieraz przez kilka pokoleń, że uda się powrócić do społeczeństwa stanowego i gospodarki agrarnej; albo reakcjonistów pomstujących na studiujące, głosujące czy uprawiające sport kobiety, podczas gdy rozsądniejsze byłoby pomyślenie o tym, by owej emancypacji nadać pożądany kierunek – by kobiety studiowały właściwe rzeczy i głosowały na właściwych ludzi.

Dziś oczywiście prawica, nawet ta najbardziej tradycjonalistyczna (a może zwłaszcza ona) świetnie sobie radzi z wykorzystywaniem nowinek takich jak Facebook, www czy Youtube. Pytanie tylko, czy owa prawica widzi, jaka jest „wymowa" tych wynalazków i ku czemu one zmierzają? Dawniej oświeceniowi liberałowie dali swoją odpowiedź aspirującym mieszczanom, socjaliści i lewicowi związkowcy – aspirującemu proletariatowi, feministki – aspirującym kobietom. Oferta reakcjonistów zawsze albo nie nadchodziła w ogóle, albo zbyt późno, nieśmiała, niepewna czy wręcz serwowana „z należytym obrzydzeniem", w nadziei, że może jednak historię uda się cofnąć, a „to wszystko" okaże się li tylko przykrym snem. O tym, by być równocześnie nowoczesnym i tradycyjnym pomyśleli dopiero faszyści różnych odłamów – niekoniecznie zresztą z dobrym skutkiem.

Współcześnie odpowiedź miłośnikom techniki, ale też i ludziom chorym czy mającym poczucie, że życie jest zbyt kruche i ulotne – dają właśnie transhumaniści. Odpowiedź ta z wielu względów jest, jak to wykazaliśmy wcześniej, co najmniej problematyczna dla konserwatywnego oglądu świata. Rodzi się więc potrzeba wygenerowania własnej narracji. Być może rzeczywiście przyszłością świata jest nie tyle nawet zanik znaczenia ludzi i ludzkiej pracy, ile raczej unifikacja człowieka z maszyną, powstanie nadczłowieka – tak jak i dziś, mając środki przeciwbólowe, internet czy centralne ogrzewanie jesteśmy „nadludźmi" w porównaniu z naszymi pra-pra-dziadkami. Ale jeśli taka unifikacja ma nadejść, to zachodzi potrzeba pokierowania nią i nadania jej interpretacji. W każdym razie konserwatyście, człowiekowi prawicy, tradycjonaliście (jakkolwiek go nie nazwiemy) powinno zależeć na tym, by ów nadczłowiek pomimo wszystkich swoich możliwości nadal zechciał zgiąć kolano przed Bogiem – i nadal przestrzegał fundamentalnych praw dotyczących życia osobistego, rodzinnego czy społecznego.

Rzecz jasna może być i tak, że z tych czy innych przyczyn do owych hipotetycznych zmian nie dojdzie albo że ich skala będzie znacznie mniejsza niż może nam się wydawać. A zatem zamiast żyć w świecie z „The Jetsons" będziemy, tak jak i teraz, męczyć się, zarabiać, walczyć, marznąć i cierpieć – nie w inteligentnych domach, ale w tych samych szarych blokach i ceglanych kamienicach, na tych samych nieszczęsnych ulicach. Z pewnego punktu widzenia byłoby to nawet bezpieczniejsze niż stawianie czoła transhumanizmowi, a do tego bardziej pasowałoby to tej koncepcji życia, do której jesteśmy przyzwyczajeni – a więc do takiej, w której jesteśmy do czegoś potrzebni, a życie nie jest sterylnym ideałem. Tym niemniej jeśli nawet dany ruch polityczny czy prąd ideowy miałby przyjąć taką właśnie perspektywę, to wpierw powinien ją uzasadnić. Możemy więc powtórzyć w ślad za znanym programem telewizyjnym: warto rozmawiać (nie przejmując się malkontentami, upierającymi się, iż z gadania nic nie wynika).

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=OlwpHLuRobo

Oryginał:
https://nlad-kopia1113.instawp.site/od-techniki-do-gnozy-konserwatyzm-w-dobie-transhumanizmu-i-przemian-technologicznych/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć